

Karel Čapek

Z ogrodniczego kalendarza

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4-5 (28-29), 303-312

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Przechadzki

Karel Čapek

Z ogrodniczego kalendarza*

Lipiec

Zgodnie z prawem kanonicznym ogrodników w lipcu oczkuje się róże. Robi się to zazwyczaj w sposób następujący: przygotowuje się oczka i podkładkę, na której ma się oczkować; następnie dużą ilość łyka a na koniec nóż ogrodniczy czyli okulizant. Gdy wszystko jest już gotowe, wypróbować ogrodnik ostrze okulizanta na brzuszku palca; jeśli okulizant jest dostatecznie ostry, zacina się w palec i pozostawia na nim rozdrapaną i krwawiącą jamkę. Tę następnie owiązuje się kilkoma metrami bandaża, z którego rozwija się potem na palcu dość okazały pąk. Nazywa się to okulizacją róż. Jeśli nie ma się pod ręką oczka, można opisanego cięcia dokonać przy innej okazji, np. przy wycinaniu wiklinowych prętów, dziczków albo przekwitłych badyli, przycinaniu krzaków itp.

Skończywszy w ten sposób okulizację róż, ogrodnik stwierdza, że powinien znowu spulchnić na zagonach zleżałą i spieczoną ziemię. Robi się to mniej więcej sześć razy w ciągu roku, za każdym razem wyrzucając z ziemi niewiarygodną ilość kamieni i podobnego odpadu. Prawdopodobnie kamienie te wzrastają z jakichś nasionek lub lęgną się z jajeczek, albo wylażą ustawicznie z tajemniczego wnętrza ziemi; a może po prostu wynurzają się z potu. Ziemia ogrodowa czyli uprawna, zwana także humusem albo ziemią kompostową, składa się w ogóle z różnych ingrediencji, jakimi są: glina, odpadki, zbutwiałe liście, torf, kamienie, kawałki półlitrowych słoików, rozbite miski, grzebyki, druty, kości, strzały husyckie, staniol z czeko-

* Przekładu dokonano według wydania: K. Čapek: *Kalendář (Jak je rok dlouhý)*. *Zahradníkův rok*. Praha 1959, s. 206—211. 215—229.

lady, cegły, stare monety, stare fajki, szkło okienne, lusterka, stare bilety wizytowe, naczynia blaszane, sznurki, guziki, podeszwy, psie łąjno, węgiel, ucha od garnców, umywalki, ścierki, ławeczki, powrózła z konopi, bańki na mleko, klamry, podkowy, puszki od konserw, izolatory, kawałki gazet i inne niezliczone rzeczy, które zdziwiony ogrodnik wydobywa za każdym razem przy spulchnianiu gleby. Być może, iż pewnego dnia wygrzebie spod swych tulipanów amerykański piecyk, grób Atylli lub księgi Sybilli; w uprawnej ziemi wszystko można znaleźć.

* * *

Główną troskę lipcową stanowi jednak podlewanie i zraszanie ogrodu. Jeśli ogrodnik podlewa konwiami, liczy te konwie jak automobilista kilometry. „Uf”, oznajmia z dumą rekordzisty, „dzisiaj wyciągnąłem czterdzieści pięć konwi”. Gdybyście wiedzieli państwo, cóż to za rozkosz, gdy chłodna woda szumiąc opada na spiekłą ziemię; gdy się to wszystko w podwieczór skrzy na kwiatkach i liściach przeciążonych gorliwym przysznicem; gdy później cały ogródek oddycha sobie wilgotnie i z ulgą, jak spragniony wędrowiec. „Ach, ach” powiada wędrowiec, ścierając pianę z wąsów, „ależ to było diabelne pragnienie. Panie Boże, jeszcze raz”. I ogrodnik biegnie po jeszcze jedną konew na ugaszenie tego lipcowego pragnienia.

Przy pomocy hydrantu i gumowego węża można podlewać szybciej i na większą skalę; w stosunkowo krótkim czasie opryskamy nie tylko zagon, ale i darń, rodzinę sąsiada zasiadającą do podwieczorku, przechodniów na ulicy, wewnątrz domu, wszystkich członków rodziny a najbardziej samego siebie. Taki przysznic z hydrantu daje zaskakujące efekty, działa nieomal tak jak karabin maszynowy; możecie przy jego pomocy w mgnieniu oka wyłobić jamę w ziemi, skosić wszystkie wieloletnie rośliny i ściąć korony drzew. Znakomite orzeźwienie przyniesie wam podlewanie wężem gumowym zwróconym w stronę wiatru; to jest wprost hydroterapia, gdy zostaniecie przemoczeni do suchej nitki. Gumowy wąż ponadto znajduje szczególne upodobanie w tym, by zrobić sobie gdzieś dziurkę w środku, tam, gdzie najmniej można się tego spodziewać; i stoicie wówczas jak Pan Wód wśród tryskających strumieni, z długim wodnym wężem skręconym u waszych stóp; jest to widok nad widokami. Gdy przemoklicie już doszczętnie, oświadczacie z pełną satysfakcją, że ogródek ma dość i odchodzicie, by wyschnąć. W międzyczasie ogródek powiedział „Uf”, wessał wasze wodotryski, nawet okiem nie mrugnawszy: znowu jest suchy i spragniony jak przedtem.

* * *

Niemiecka filozofia głosi, że grubą rzeczywistością jest po prostu to, co jest, podczas gdy wyższy, moralny porządek jest „das Sein-Sollende” czyli to, co być powinno. Tak więc ogrodnik, szczególnie w lipcu, w całej rozciągłości uznaje ów wyższy ład, wie bowiem dobrze co *być powinno*. „Powinno lunąć”, wyraża swą myśl zdecydowanie.

A zazwyczaj bywa tak, że: gdy tzw. życiodajne promienie słoneczne dosięgają ponad 50 stopni C, gdy trawa żółknie, liście na krzakach kwiatów schną a gałęzie drzew więdną od pragnienia i żaru, gdy ziemia pęka, spieka się na kamień albo rozpada w pałący pył, wówczas z reguły:

- 1) przerywa się wąż tak, że nie można podlewać;
- 2) coś staje się w stacji pomp i nie cieknie już w ogóle żadna woda; wtedy możecie, prawdę mówiąc, wypchać się trocinami, ha — choćby płonącymi trocinami.

W takim czasie ogrodnik daremnie zrasza ziemię swym potem; wyobraźcie sobie, jakby się musiał napocić, aby starczyło, powiedzmy na mniejszy trawnik. Tu również na nic się nie zdają przeklinania, wymysły, bluźnierstwa i plucie z wściekłością, nawet jeśli z każdym plunięciem lecimy do ogrodu (każda kropla wilgoci się przyda!). Wówczas ogrodnik zwraca się w stronę tego wyższego porządku i zaczyna fatalistycznie powtarzać: „Powinno lunąć”. „A dokąd w tym roku wybiera się pan na lato?” „To nieważne, powinno lunąć”. „A co pan sądzi o dymisji Englisza?” „Powiadam, powinno lunąć”. Panie Boże wielki, gdy sobie człowiek tak wyobrazi piękny listopadowy deszcz: przez cztery, pięć, sześć dni szumią chłodne deszczowe nitki; jest szaro i słotnie, woda przecieka do butów, chłapie pod nogami i włazi w kości: „Jak powiadam, powinno lunąć”.

Róże i floksy, helenium i *coreopsis*, stroiczka i mieczyki, dzwonki, tojad i oman wielki, rojnik i chryzantema — Bogu dzięki, wzięwszy pod uwagę fatalne warunki, jeszcze tego sporo kwitnie. Stale coś kwitnie i przekwita; wciąż tylko człowiek musi odcinać te przekwitłe łodygi, mrużąc (pod adresem kwiatu, nie swoim własnym) „Tak więc i z tobą jest już koniec”.

Patrzcie, te kwiaty mają coś doprawdy wspólnego z kobietami: są tak piękne i świeże, że oczu nie można od nich oderwać i nigdy nie nasyć się tym pięknem, zawsze coś ci z niego umknie, Boże, skoro każde piękno jest takie nienasycone; ale gdy tylko zaczną przekwitać, to ja już nie wiem dlaczego, ale jakoś przestaje im zależeć na sobie (mówię o kwiatkach) i gdyby człowiek chciał być grubiański, powiedziałby, że wyglądają jak flejtuchy. Jaka szkoda, moja rozkoszna piękności (ja mówię o kwiatkach), jaka szkoda, że tak upływa czas, piękno przemija, a tylko ogrodnik trwa.

Jesień ogrodnika zaczyna się już w marcu: od pierwszego przekwitłego przebiśniegu.

Sierpień

Sierpień to czas, w którym działkowiec opuszcza zazwyczaj swój ogród cudów i *udaje się na urlop*. Przez cały rok wprawdzie z naciskiem podkreślał, że tego roku nigdzie nie pojedzie, że taki ogródek przewyższa jakąkolwiek wiejską rezydencję i że on, ogrodnik, nie jest takim bałwanem i kretynem, aby tłuc się gdzieś pociągami po jakichś zakazanych kątach, niemniej gdy nadchodzi czas lata, ucieka również i on z miasta bądź dlatego, że odezwał się w nim instynkt wędrowniczy, bądź w obawie przed sąsiadami, aby nie mieli mu za złe. Odjeżdża jednak z ciężkim sercem, pełen obaw i troski o swoje włości; a nie wyruszy dopóty, dopóki nie znajdzie jakiegoś przyjaciela albo krewnego, którego pieczy powierzyłby ogród.

„Proszę pana” — powiada — „teraz i tak w ogródku nie ma żadnej roboty; wystarczy, jeśli pan raz na trzy dni rzuci nań tylko okiem, a jeśli tam coś nie było w porządku, wyśle pan do mnie karteczkę, a ja przyjadę. Myślę, że mogę na panu polegać. Jak powiadam, wystarczy pięć minut, trzeba tylko rzucić okiem”.

Po czym odjeżdża, złożony ogródek na sercu uczynnego bliźniego. Ów bliźni zaś już na drugi dzień otrzymuje list: „Zapomniałem panu powiedzieć, że ogród należy co drugi dzień zraszać, najlepiej o piątej rano albo o siódmej wieczorem. To nic takiego, przysrubuje pan tylko węża do hydrantu i godzinę będzie pan podlewać, konifery musi pan skropić całe i bardzo intensywnie, murawę również. Gdyby pan spostrzegł jakieś chwasty, należy je wylewić. To wszystko”.

Następnego dnia: „Jest straszliwa susza, niech pan będzie tak łaskaw i wyleje pod każdy rododendron przynajmniej dwie konwie odstałej wody, każdemu iglastemu drzewu należy dać pięć konwi, a pozostałym drzewom mniej więcej po cztery konwie. Rośliny wieloletnie, które teraz kwitną, potrzebują dużo wody — niech mi pan napisze odwrotną pocztą, co kwitnie. Przekwitłe łodygi należy odciąć! Dobrze byłoby, gdyby zechciał pan motyczką spulchnić wszystkie zagonki; ziemi będzie się lepiej oddychać. Jeśli na różach są mszyce, niech pan kupi ekstrakt tabaki i ranną rosą albo w czasie deszczu starannie je opyli. Nic więcej na razie nie musi pan robić”.

Na trzeci dzień: „Zapomniałem panu powiedzieć, że trzeba przystryc trawnik; przy pomocy maszynki zrobi to pan z łatwością, a czego maszynka nie chwyci, poprzycina pan nożyczkami. Ale uwaga! po stryżeniu trawę należy *dobrze pograbić, a następnie powymiatą miotłą!* W przeciwnym wypadku trawnik wyłysieje! I podlewać, dużo podlewać!”.

Czwartego dnia: „Gdyby była burza, błagam, niech pan pobiegnie do ogródka, spojrzeć, co się tam dzieje; gwałtowna ulewa czasem wyrządza szkody, dobrze jest więc być zaraz na miejscu. Gdyby na różach pojawił się mączniak, niech pan posypie je wczesnym rankiem siarkolem. Wysokie rośliny wieloletnie proszę poprzywiązywać do kołków, aby wiatr ich nie połamał. Tu jest cudownie, rosną grzyby i wspaniale można się kąpać. Niech pan nie zapomina codziennie podlewać u mnie w domu *ampelopsis*, jest mu tam za sucho. Niech mi pan odłoży do torebki nasionka z *Papaver nudicaule*. Mam nadzieję, że trawniki już pan ostrzygł. Poza tym nic innego nie trzeba robić, tylko tępic szczypawki”.

Piątego dnia: „Wysyłam panu skrzynkę z kwiatami, które wykopałem tutaj w lesie. Są to różne storczyki, dzikie lilie, kosańce, płucnik, sasanki i inne. Gdy tylko skrzynka nadejdzie, niech pan ją natychmiast otworzy, sadzonki proszę zrosić i posadzić w mym ogródku, gdzieś w cieniu. Niech pan dołoży im torfu i kompostu! Natychmiast posadzić i trzy razy dziennie podlewać!!! Proszę wyciąć także te dziczki na różach”.

Szóstego dnia: „Posyłam panu ekspresem kosz z kwiatami natury... Natychmiast dać je do ziemi... W nocy powinien pan iść do ogródka i tępic ślimaki. Dobrze byłoby wypleć ścieżki. Mam nadzieję, że nadzór nad moim ogródkiem nie zajmie panu dużo czasu i że spędzi pan w nim przyjemne chwile”.

Tymczasem ochoczy bliźni, świadom odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, rosi, siecze, spulchnia, plewi i krąży z posłanymi sadzonkami po ogródku szukając, gdzieby je do diabła mógł wsadzić; jest spocony i zmoczony od stóp do głów, ze zgrozą spozstrzega, że tu mu wiednie jakiś chwast a tam połamały się jakieś badyle, a tutaj trawnik żółkł i że cały ogródek jest jak gdyby spalony, i przeklina chwilę, w której wziął na się to brzemie i modli się, aby przyszła już jesień.

A tymczasem właściciel ogródka myśli z niepokojem o swych kwiatkach i trawnikach, źle sypia, klnie, że mu uczynny bliźni nie posyła codziennie raportów o stanie ogródka i liczy dni do swego powrotu, posyłając od czasu do czasu skrzynię z kwiatami natury i list z jakimiś dwunastoma pilnymi rozkazami. Wreszcie wraca, jeszcze z walizami w rękę gna do swojego ogródka i rozgląda się po nim z wybałuszonymi oczami —

„Ten łobuz, ten kretyn, ten bałwan” myśli z goryczą „ten mi ten ogród skopał!”.

„Dziękuję panu” powiada sucho bliźniemu i jak żywy wyrzut sumienia chwyta za węża, aby popodlewać zaniedbany ogródek. (To bałwan, myśli sobie w głębi duszy, takiemu dać coś pod opiekę! Nigdy już nie będę takim głupcem i gamoniem, aby wyjeżdżać na urlop!).

Mniejsza o kwiaty natury, te już fanatyk ogrodnictwa jakoś tam

wyrzeje sobie z gleby, aby je wcielić do swego ogródka; gorsza sprawa z innymi obiektami przyrody. „Do licha”, myśli sobie ogrodnik spoglądając na Matterhorn albo Gerlach, „gdyby tak mieć tę górę w swym ogródku; a tutaj kawałek puszczy z leśnymi olbrzymami, tu zaś pasiekę, a tam górski potoczek albo raczej jezioro; ta aksamitna łąka także by świetnie dała się uprawiać w ogródku, również kawałek morskiego wybrzeża byłby na miejscu, a i ruiny gotyckiego kościoła bardzo by mi się przydały. Chciałbym posiadać również tę oto tysiącletnią lipę, owa antyczna fontanna też niebrzydko by u mnie wyglądała; a cóż dopiero stado jeleni albo skalna kozica, czy chociażby ta prastara aleja starych topoli, skała, rzeka, dębowy gaj albo ten bielutki i błękitny wodospad, czy przynajmniej owa cicha i zielona dolinka”.

Gdyby można było zawrzeć pakt z diabłem, który by spełniał każde życzenie ogrodnika, ten zaprzedałby mu swą duszę; ale biedak diabeł strasznie drogo by za ową duszę zapłacił. „Chłopie nikczemny” — powiedziałyby w końcu — „co ty sobie wyobrażasz, to ja miałbym na ciebie tak orać, spływaj raczej do nieba — i tak gdzie indziej nie ma dla ciebie miejsca”. I ze złością kręcąc ogonem, ścinając nim kwiaty łopianu i omanu wielkiego, poszedłby sobie w swoją stronę, pozostawiając ogrodnika z jego nieskromnymi żądaniami.

Wiedziecie, że mówię o ogrodniku, a nie o tych sadownikach i badylarzach. Niech się sadownik rozplywa nad swymi jabłkami i gruszkami, niech badylarz się cieszy nadnaturalną wielkością swych kalarep, ogórków i selerów; prawdziwy ogrodnik odczuwa wszystkimi kośćmi, że sierpień to jest czas zmiany. Co kwitnie, to już niebawem przekwitać zacznie; teraz jeszcze nadejdzie czas jesiennych astrów i chryzantem, a potem dobranoc! Ale, ale, jeszcze ty jaśniejący floksie, ty bukieciku kościelny, ty złoty starcze i złocieniu, ty złota rudbekio i złotokapie, ty złoty słoneczniku, jeszcze wy i ja, jeszcze się nie damy, skądże znowu! przez cały rok jest wiosna i przez całe życie jest młodość; stale jeszcze jest z czego kwitnąć. To tylko tak się mówi, że jest jesień; my tymczasem rozkwitamy innym kwiatem, rośniemy pod ziemią, wypuszczamy nowe pędy; i stale jest coś do roboty. Tylko ci, którzy trzymają ręce w kieszeniach, powiadają, że wszystko zmierza ku gorszemu; ale kto kwitnie i przynosi owoce, chociażby to było w listopadzie, nic nie wie o jesieni — wie tylko o złotym lecie; nie wie nic o upadku — wie tylko o rośnięciu. Jesienny astrze, drogi człowieku, rok jest tak długi, że nawet końca nie ma.

Wrzesień

Na swój sposób — z ogrodniczego punktu widzenia — wrzesień jest przyjemnym i wspaniałym miesiącem; nie tylko dlatego, że kwitnie w nim złocien, jesienny aster i indyjska

chryzantema, nie tylko z powodu was, ciężkich i oszałamiających georginii; wiedzcie, ludzie bezbożni, że wrzesień jest wybranym miesiącem wszystkiego, co kwitnie po raz drugi: miesiącem drugiego kwitnięcia, miesiącem dojrzewania winorośli. Wszystko to są tajemnicze zalety września, pełne głębszego sensu; ponadto jest to miesiąc, w którym ponownie otwiera się ziemia, tak że już znowu możemy sadzić! Teraz powinno wejść w ziemię to, co do wiosny ma się w niej zakorzeń; co nam ogrodnikom daje okazję, by znowu biegać od hodowcy do hodowcy, oglądać ich okazy i wybierać sobie skarby na nową wiosnę, a ponadto daje okazję po temu, aby zatrzymać się w rocznym kołobiegu właśnie u tych fachowców i złożyć im swój hołd.

Ogrodnik wielki czyli hodowca jest to zazwyczaj mąż, który nie pije, nie pali, jednym słowem mąż cnotliwy; w historii nie wstawił się ani wybitnymi przestępstwami, ani też wojennymi czy politycznymi czynami; jego imię uwiecznione bywa jakąś tam nową różą, georginią albo jabłuszkiem; sława ta najczęściej anonimowa — albo skrywająca się pod jakimś innym nazwiskiem — całkowicie mu wystarcza. Na skutek szczególnej igraszki natury bywa to zazwyczaj chłop zwalisty, wprost potężny, pewnie dla odpowiedniego kontrastu z wątłą i fliligranową wspaniałością kwiecia. Natura utworzyła go na obraz i podobieństwo bogini Kybele, podkreślając jego szczone ojcostwo. I rzeczywiście, jeśli hodowca ów dłubie palcem w doniczkę, to jest nieomal tak, jak gdyby swym małym wychowankom podawał pierś. Z pogardą odnosi się do architektów ogrodnictwa, którzy z kolei uważają hodowców za badylarzy. Wiedzcie jednak o tym, że hodowcy swej pracy nie uważają za profesję, ale za naukę i sztukę; jest wręcz czymś druzgocącym, jeśli wyrażą się o swym konkurencie jako o dobrym kupcu. Do ogrodnika-hodowcy nie chodzi się tak, jak do kupca z kołnierzykami albo towarem żelaznym, któremu wystarczy powiedzieć, co chcecie kupić, zapłacić i udać się w swoją stronę. Do ogrodnika chodzi się, aby pogawędzić, aby dopytywać się, jak się to i tamto nazywa, aby mu oznajmić, że ta hutchinsia, którą kupiliście u niego w zeszłym roku, nadaje się do życia; aby ponarzekać, że w tym roku ucierpiały mertenzie i molestować, aby pokazać, co ma nowego. Należy z nim przedyskutować zagadnienie, czy lepszy jest Rudolf Göthe czy też Emma Bedau (są to astry), pokłócić się o to, czy *Gentiana Clusii* woli ił albo torf.

Po tych i wielu innych rozmowach wybieracie sobie nowe *Alyssum* (do diabła, ale gdzie to dać?), jedną ostróżkę, którą wam mączniak zniszczył, i jeden garnuszek, co do którego nie możecie się z hodowcą dogadać, co w nim właściwie jest i spędziwszy w ten sposób kilka godzin na pouczającej i szlachetnej zabawie, zapłacicie mężowi, który nie jest kupcem, pięć albo sześć stów i już macie to z głowy. A przecież was, męczydusze, chętniej widzi taki hodowca niż bogaczy, którzy przyjechawszy tu zasmrodzonym autem, rozka-

zują mu, aby im wybrał sześćdziesiąt rodzajów „tych najlepszych kwiatów, ale aby były pierwszorzędne”.

Każdy hodowca zaklina się na swą duszę, że ma w swoim ogrodzie w zasadzie złą ziemię, że nie kopie, nie podlewa, na zimę niczego nie przykrywa; pewnie chce przez to powiedzieć, że jego kwiaty dobrze rosną z prostej sympatii do niego. Coś w tym pewnie jest: w ogrodnictwie człowiek musi mieć szczęśliwą rękę albo być obdarzonym wyższą łaską. Prawdziwy ogrodnik może wepchnąć do ziemi kawałek liścia — zaraz mu z tego wyrośnie kwiat, podczas gdy my, laicy, paprzemy się z nasionkami, zraszamy je, chuchamy na nie, karmimy je kurzym nawozem albo odżywką niemowlęcą, a w końcu wszystko nam zmarnieje i ulegnie zatracie. Sądzę, że muszą być w tym jakieś czary, podobnie jak w myślistwie albo w medycynie.

Wyhodowanie nowego gatunku jest skrytym marzeniem każdego namiętnego ogrodnika. Panie Boże, gdyby mnie tak wyrosła żółta niezapominajka albo niezapominajkowo niebieski mak, albo biała goryczka — jak to, ten niebieski jest ładniejszy? Wszystko jedno: ale białej goryczki tu jeszcze nie było. A zresztą, wiecie, i przy tych kwiatkach człowiek jest trochę szowinistą; gdyby jakaś czeska róża wygrała w skali światowej z taką amerykańską Independence Day albo francuską Herriota, to byśmy się nadęli pychą i pękli z radości.

* * *

Szczerze wam radzę: jeśli macie w swoim ogródku kawałek zбочa albo tarasu, urządźcie sobie skałkę. Przede wszystkim taka skałka jest bardzo piękna, gdy zarośnie poduszczkami skalnicy, szafirku, macierzanki, rojnika, szarotki i innymi przepięknymi górskimi kwiatkami; po drugie samo budowanie skałki jest pracą znakomitą i ciekawą. Mąż, który buduje skałkę, czuje się jak Cyklop, gdy rzecz można, z elementarną siłą wznosi głaz nad głazem, buduje wierzchołki i doliny, góry przenosi i odkrywa przepaści. A kiedy wreszcie zgięty w hak, dokończył już swego gigantycznego dzieła, stwierdza, że wygląda ono poniekąd inaczej niż gigantyczny łańcuch górski, który sobie wyobrażał; że jego wytwór przypomina raczej kupę żwiru i kamieni. Nic z tego sobie nie róbcie; za rok kamienie te zmienią się wam w najpiękniejszy zagon, skrzący się od drobnych kwiatków, zarośnięty najpiękniejszymi poduszczkami; a wasza radość będzie wielka. Powiadam wam, zbudujcie sobie skałkę.

* * *

Nie da się już zaprzeczyć: jest jesień. Poznacie ją po tym, że kwitną jesiennie astry i jesiennie chryzantemy — te

jesienne kwiaty kwitną ze szczególną siłą i bogactwem; nie czynią nazbyt wiele hałasu, kwiat jak kwiat, ale za to, ile ich jest! Powiadam wam, że ten rozkwit dojrzałego wieku jest mocniejszy i bardziej namiętny niż te niespokojne i ulotne kaprysy młodej wiosny. Jest w tym rozum i konsekwencja dojrzałego człowieka: jak już kwitnąć, to kwitnąć dokładnie; i mieć dużo miodu, aby pszczoły się zbiegły. Czym jest taki opadający kwiat nad tym bogatym rozkwitem jesiennym? Czyż nie widzicie, że nie ma zmęczenia?

O hodowcach kaktusów

Jeśli nazywam ich sekciarzami, to nie dlatego, że z wielką namiętnością hodują kaktusy; ów stan faktyczny należy nazwać pasją, cudactwem albo manią. Istota sekciarstwa nie polega na tym, że się coś robi z pasją, ale na tym, że się w coś namiętnie wierzy. Są kaktusiarze, którzy wierzą w marmurowy proszek, podczas gdy inni wierzą w proszek ceglany, a znowu inni w węgiel drzewny; jedni uznają podlewanie, podczas gdy inni je odrzucają; są jeszcze inne, głębsze tajemnice Prawdziwej Gleby Kaktusowej, których wam żaden kaktusiarz nie zdradzi, choćbyście go łamali kołem. Wszystkie te sekty, zakony mnisie, rytualne bractwa, szkoły, loże, jak również kaktusiarze dzicy albo kaktusiarze pustelnicy przysięgną wam, że tylko przy pomocy swej metody osiągnęli tak cudowne wyniki. Spójrzcie na ten *Echinocactus Myriostigma*. Czy widzieliście już u kogo taki *Echinocactus Myriostigma*? No to ja wam powiem, pod warunkiem, że nikomu tego nie zdradzicie: nie wolno go podlewać, a należy go tylko zraszać. Tak. Jak to? zawoła inny kaktusiarz. Kto to słyszał, żeby *Echinocactus* zraszać? Chciecie, aby przeziębził sobie ciemionko? Ejże, panie, jeśli nie chce pan, aby *Echinocactus* zgnił, może go pan nawilżyć tylko w ten sposób, że raz na tydzień wsadzi go pan wraz z doniczką do miękkiej wody, o temperaturze 23,789° Celsjusza. Potem panu urośnie wielki jak rzepa. Na miłość boską, krzyknie trzeci kaktusiarz, ależ morderca z pana! Jeśli będzie pan moczyć doniczkę, zajdzie panu zieloną rzęsą, ziemia się zakwasi i może pan dać się wypchać, tak, dać się wypchać; oprócz tego korzonki pańskiego *Echinocactusa Myriostigma* zaczynają podgniwać. Jeśli nie chce pan, aby ziemia panu skwaśniała, musi pan od czasu do czasu podlewać ją sterylizowaną wodą a to tak, aby na centymetr kubiczny ziemi przypadało 0,111111 gramów wody dokładnie o pół stopnia cieplejszej niż powietrze. Po czym wszyscy trzej kaktusiarze zaczynają naraz wrzeszczeć i rzucać się na siebie z pięściami, zębami, kopytami i pazurami; ale jak to już bywa na świecie, prawda nie wychodzi na jaw nawet przy użyciu tych środków.

* * *

Rzeczywiście, kaktusy zasługują na tę szczególną namiętność, już choćby dlatego, że są tajemnicze. Róża jest piękna, ale nie jest tajemnicza; do roślin tajemniczych należą: lilie, goryczka złota, paproć, drzewo poznania, prastare drzewa w ogóle, niektóre grzyby, mandragora, storczyki, lodowe kwiaty, zioła jadowite i lecznicze, grzybnie mesembrianthema i kaktusy. Na czym ta tajemnica polega, tego wam nie powiem; tajemnicę należy po prostu uznawać: znaleźć ją i korzyć się przed nią: Są więc kaktusy podobne do morskich jeży, ogórków i dyń, świec, dzbanów, księżej tonsury, gniazda żmij, są pokryte łuskami, cyckami, bokobrodami, pazurami, brodawkami, są jak bagnety, kordy i gwiazdy, zwaliste i wysmukłe, najeżone jak pułk halabardników, ostre jak czata, machające szablami, nalane, zdrewniałe i pomarszczone, pryszczate, wąsate, podenerwowane, marsowe, kolczaste jak zasieki, plecione jak kosz, podobne do guzów, zwierząt, broni: najmężniejsze ze wszystkich roślin przynoszących nasienie dla pokolenia swego, albowiem stworzone były dnia trzeciego. („Ależ ze mnie wariat” rzekł Stwórca dziwiąc się temu, co sam zdziałał). Możecie je kochać bez nieprzyzwoitego dotykania ich, całowania albo przyciskania do piersi: nie zależy im na poufałości i frywolnych zbliżeniach; są twarde jak kamień, uzbrojone po zęby, zdecydowane nie dać się, idź sobie stąd blada twarzy, bo zacznę strzelać! Taka mała kolekcja kaktusów wygląda jak obóz walecznych skrzatów. Odetnijcie temu wojownikowi głowę albo rękę: urośnie z niej nowy wiarus wymachujący mieczem i sztyletami. Życie jest walką.

Ale są tajemnicze chwile, gdy ten buntowniczy i niedotykalny uparciuch tak jakoś zapomina się i zasypia; wówczas wytryska z niego kwiat wielki i jaśniejący, kwiat książeży wśród wzniesionej broni. Jest to wielka łaska i rzadkie wydarzenie, które nie każdemu się przytrafia. Powiadam wam, duma macierzyńska jest niczym w porównaniu z pychą i chępliwością kaktusiarza, któremu rozkwitł kaktus.

przełożyła Halina Janaszek-Ivaničková